

WYWIAD

Jarosław STULCZEWSKI*

**WYWIAD Z DANIELĄ OSIŃSKĄ (PSEUDONIM „WIERNA”,
1^o V. KRETOWICZ, 2^o V. LUDWICKA)
– CZŁONKIEM ARMII KRAJOWEJ I SIOSTRĄ KOMENDANTA
SPIESZONEGO SZWADRONU AK W SZADKU**

Jedenasty wywiad w ramach cyklicznej rubryki „Biuletynu Szadkowskiego” to rozmowa z porucznik w stanie spoczynku Danielą Ludwicką ps. „Wierna” – członkiem podziemia niepodległościowego w czasie okupacji hitlerowskiej i siostrą Ludwika Osińskiego ps. „Orlicz”, komendanta Spieszonego Szwadronu AK w Szadku.

Nie jest Pani rodowitą szadkowianką, przyszła Pani na świat na ziemi łowickiej. W jakiej rodzinie Pani się wychowała? Jak wspomina Pani dom rodzinny?

Była nas szóstka rodzeństwa, najstarsi byli Ludwik i Mundek, potem siostra Wacława, dalej Aleksy i Józio (zmarł w dzieciństwie) i ja jako najmłodsza. Wszyscy już odeszli, tylko ja jeszcze zostałam z Osińskich. Tam, gdzie mieszkaliśmy, w miejscowości Łazin w łowickim, rodzice mieli gospodarkę, chyba 12 mórg ziemi i wiatrak. Wiatrak był na łąkach w odległości około pół kilometra od domu. Z dziada pradiada rodzina nasza zajmowała się z młynarstwem. Dziadek był młynarzem, tatuś był młynarzem i moi bracia także. Gdy tatuś już nie domagał, słabo się czuł i nie miał siły prowadzić gospodarstwa, sprzedał wszystko i kupił młyn wodny na rzece Grabi w miejscowości Kustrzyce. Moi bracia Ludwik i Olek skończyli szkołę młynarską. Jak mama owdowiała, najstarszy z braci, Ludwik,

* Jarosław Stulczewski, działacz społeczno-kulturalny oraz ruchu rekonstrukcyjno-historycznego, prezes Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Zduńskiej Woli, 98-220 Zduńska Wola, ul. Mickiewicza 4.

był w wojsku i miał zamiar zostać zawodowym żołnierzem. Ale gdy tata zmarł, mama złożyła podanie o zwolnienie go z wojska. I go zwolnili do domu. Ludwik wrócił niechętnie, bo bardzo lubił wojsko – razem z mamą prowadzili młyn i przyjmowali zboże na przemiał. Z tego się utrzymywaliśmy. Dodatkowo był zatrudniony czeladnik. Olek, najmłodszy z braci, był taki pracuś – kiedyś po deszczu przygotował sobie samodzielnie sieć na ryby i żywił nas rybami.

Skąd wywodziła się Pani rodzina?

Nie wiem. Mój tatuś miał na imię Marcei. Miał tylko jednego brata, Władysława. Obaj byli młynarzami i niedaleko od siebie mieszkali. Jeden z synów stryja też był młynarzem.

Zanim przeprowadziliście się Państwo do Kustrzyc w powiecie łaskim uczęszczała Pani już do szkoły powszechnej?

Tak, chyba do szkoły w Emilianowie. Po przeprowadzce do Kustrzyc początkowo chodziłam do szkoły w Przymiłowie. Nie była to jeszcze szkoła siedmioletnia. Uczyla tam pani Pokładokowa, która pochodziła z Przemyśla i na wakacje zawsze wyjeżdżała do męża w Przemyślu. Musiały to być nieciekawe czasy skoro wyjeżdżała tak daleko, aby mieć pracę. Potem chodziłam do szkoły w Sędziejowicach. I wtedy zachorowała nam mama, a starszej siostry Waci, która była mężatką, już nie było w domu. I z dziewcząt zostałam tylko ja. Musiałam się opiekować mamą i robić jedzenie. Dawniej chłopcy tak się nie wrywali, żeby zajmować się prowadzeniem domu.

Czy w okresie nauki szkolnej udzielała się Pani w jakiejś organizacji społecznej?

Byłam w Polskim Czerwonym Krzyżu. Dobrze nie pamiętam czy byłam w harcerstwie, ale jeśli tak to krótko. Jak brat mój Ludwik, kiedy wrócił z wojska, również udzielał się społecznie – prowadził konne przysposobienie wojskowe. Ludzie nas w okolicy znali. Chętnie uczęszczali na szkolenia synowie klientów, którzy przyjeżdżali do młyna. A konie mieli wszyscy. Synowie okolicznych gospodarzy zgłaszali się do Ludwika – on ich ćwiczył i przygotowywał do służby wojskowej. Ćwiczyli w Marzeninie, gdzie była nasza parafia, około trzy kilometry od nas.

Jak Pani zapamiętała dzień 1 września 1939 r.?

Byłam wówczas w Kustrzycach. Mieszkaliśmy w młynie. Mama była już wdową – tata zmarł w 1934 r. Mieszkaliśmy w niezbyt bezpiecznym miejscu. Jak wojna wybuchła, to wojsko i cywilni uciekinierzy, którzy napływali od strony Sędziejowic i Lichawy, zatrzymywali się na naszym podwórzu. Podczas wojny z godziny na godzinę wszystko się zmienia. Nagle pojawiało się pełno wojska, gdyż przed domem i młynem było duże podwórze. Wojna wybuchła w piątek

i tego samego dnia lub następnego wieczorem (pamiętam, że jeszcze był chleb, bo mama sama piekła) jeden z oficerów mówi do mamy *proszę panią tu widzę po was spokój, ale mam propozycję, żeby się pani zastanowiła, czy nie lepiej, żebyście się z stąd usunęli, gdyż mieszkacie w niebezpiecznym miejscu*. A dlaczego? Ponieważ jakieś pół kilometra od młyna, nad rzeką Grabią był tor kolejowy na nasypie i długi most żelazny, po którym przejeżdżały pociągi. I ten wojskowy powiedział, że nieprzyjaciel, aby linię przeciąć, na pewno zburzy most. Z kolei za rzeką z prawej strony, nie tak daleko od nas, prowadziła główna szosa Wida-wa – Łódź. Do tego w okolicy było pełno lasów, które szperały obce samoloty w poszukiwaniu ukrytego Wojska Polskiego. Nie pamiętam, którego dnia, chyba 2 września, wczesnym rankiem zauważyliśmy, że pojawiły się wrogie samoloty. Wszyscy mówili, że z bombami lecą, bo tak okropnie dudniły. Do tego niedaleko były Karsznice koło Zduńskiej Woli, o których krótko przed wojną mówiło się, że będzie to główna stacja kolejowa w Polsce.

Początkowo moja mama nie miała chęci uciekać z domu, ale jak ten wojskowy przedstawił sytuację to mama zwątpiła. Poczekala aż się upiekł chleb, wyjęła go z pieca i mówi, że musimy ten chleb wziąć na drogę. Wtedy nic nigdzie nie można było kupić, bo sklepy były nieczynne. Tylko wojsko i uciekinierzy. Jak był nalot kładliśmy się w redliny z ziemniakami, aby nas nie było widać. Ale oni do pojedynczych osób nie tyle strzelali, tylko do wojska. Na własne oczy widziałam, jak jeden z gospodarzy jechał wozem żelaznym. Wóz był załadowany niepowleczo-nymi pierzynami, a w nich dzieciaki i matka, cała rodzina. Matka wyglądała jak kwoka z kurczakami. Żołnierz polski, który jechał z naprzeciwka krzyczy i krzy-czy, aby zjechał, bo zablokował drogę i wojsko nie mogło przejechać. Ale chłop był chyba głuchy jak pień, bo jechał dalej. I leżąc w tych bruzdach widziałam, jak temu żołnierzowi brakło cierpliwości, wyciągnął krótką broń i do tego chło-pa strzelił. Polskie wojsko musiało przejechać, a ten gospodarz tarasował drogę. Zabił tego człowieka i ta kobita z tymi dziećmi została sama. Jakie ja strasz-ne rzeczy widziałam, to szkoda mówić. Wiele zapomniałam, ale to szczególnie pamiętam.

Gdzie uciekaliście po opuszczeniu gospodarstwa?

Za wojskiem, a wojsko szło w kierunku Warszawy. Uciekaliśmy ja, mama, brat i Olek. Ludwik wtedy był ponownie w wojsku. Uciekaliśmy z domu chy-ba 2 września. Wzięliśmy co było najpotrzebniejsze, przede wszystkim żywność. Mama pozamykała dom, bo spodziewała się, że jak wrócimy to otworzy, to znów będziemy w nim mieszkali. Szkoda, że ten wojskowy namówił mamę do ucieczki. Niepotrzebnie uciekaliśmy, a kiedy wróciliśmy to chata była pusta. Absolutnie nic nie było. Moja mama dużo ptactwa chowała, jak uciekaliśmy na rzece zostało całe stado kaczek. Jak wróciliśmy nie było już ani jednej kaczki. Wszystko zostało rozszabrowane.

Po ilu dniach powróciliście do domu?

Po jedenastu dniach. Daleko nie zaszliśmy, gdyż w dzień nie za bardzo można było się przemieszczać, trzeba było chować po dziurach i rowach, bo bez przerwy były naloty. Uciekaliśmy tylko w nocy. I nie szosą, bo była uszkodzona (doły wielkości domu, powyrywane od bomb), a w rowach pełno martwych koni. W młodości przeżyłam wszystko co najgorsze. Pamiętam, że gdy dojeżdżaliśmy do pewnej miejscowości, smród niesamowity na dwa kilometry się ciągnął. A to dlatego, że gospodarze nie zdążyli zwierząt pospuszczać z łańcuchów i wszystko się paliło. Tego ryku krów i owiec do śmierci nie zapomnę. Kościół też się palił. Nie wiem dokładnie, jaka to była miejscowość. Czy czasami nie Dłutów? Z kolei w Pabianicach zatrzymało nas Wojsko Polskie. Dali nam kartkę, że rekwirują konie i wóz, a na dodatek wszystko co było na wozie. W międzyczasie skończył się nam chleb. Ale na szczęście mijaliśmy jakiś majątek, gdzie było dużo pomidorów, marchwi pastewnej i brukwi. Pamiętam, że narwaliśmy tej brukwi, marchwi i trochę pomidorów, bo nie wiadomo było, co będzie dalej. Myśleliśmy, że będziemy mieli co jeść przez parę dni, ale zaraz nam wszystko zarekwirowano.

Gdy wróciliście do gospodarstwa w Kustrzycach, było ograbione ono, ale czy budynki się zachowały? Co dalej działo się z waszą rodziną?

Budynki nie były zniszczone, ale widać było, że za turbiną młyna spadła bomba. Jak bracia wrócili do Kustrzyc, to nie mieli co robić w tym pustym domu. Olek udał się do sąsiedniego młyna do Emilianowa i na szczęście potrzebowali tam młynarza, więc został i zaczął pracować. A brat Ludwik po powrocie z wojska udał się do Wygiełzowa, gdzie przez kilka dni pracował w polu u Józefowiczów. A ja z mamą zamieszkaliśmy w Emilianowie u Olka. Ale byłam tam krótko.

W okolicach Emilianowa, w miejscowych lasach rozbił się w pierwszych dniach września 1939 r. polski samolot. Czy coś wiadomo Pani na ten temat?

Tak, spadł w emilianowskim lesie niedaleko od młyna, który tam był. Samolot ten spadł 2 września. Strąciły go szwaby. Spadł do lasu, ale nie wiedzieliśmy dokładnie, w które miejsce. Od razu tam nie poszliśmy, bo człowiek się bał. Dopiero na drugi dzień, z sąsiadami, poszłam oglądać tę tragedię. Nie wiem, co się stało z pilotem. Pilota nie było, tylko spalony samolot był i wokół popalone drzewa¹.

¹ 2 września 1939 r. w lesie koło Emilianowa rozbił się polski samolot PZL P.11c, pilotowany przez ppor. pilota Edwarda Kramarskiego z 161 Eskadry Myśliwskiej, która została oddana pod rozkaz dowódcy lotnictwa Armii Łódź. E. Kramarski w kampanii wrześniowej był wyznaczony na dowódcę klucza lądowiska polowego w Kłoniszewie koło Szadku. 2 września 1939 r. o świcie wystartował w kluczu, który zestrzelił hitlerowskiego Henschel Hs 126. Około godz. 16. miał miejsce ponowny start ppor. Kramarskiego. Pilotem drugiego samolotu był ppor. Jan Dzwonek. Ich zadaniem było przechwycenie hitlerowskiej wyprawy bombowców Heinkel 111, które kierowały się w stronę Łodzi. Podczas ataku na wysokości Górek Grabińskich nadleciały niezauważone wcześniej

Pani brat Ludwik jeszcze w 1939 r. wstąpił w szeregi podziemnej niepodległościowej organizacji. Co Pani wie na ten temat?

Został zaprzysiężony przez Józefa Płocińskiego, który już nie żyje. Do końca nie wiem, jak to się stało, że został zwerbowany. Wcześniej z panem Płocińskim nie znaliśmy się, on mieszkał u kogoś w Marzeninie. Płociński pochodził ze Zduńskiej Woli, gdzie prowadził kiosk. Właśnie przed nim Ludwik składał przysięgę. Jeszcze jedno sobie przypominam, że w tworzącym się podziemiu z panem Płocińskim był ksiądz Balcerczyk.

Dlaczego Ludwik przeniósł się do Szadku, a nie do pobliskiej Zduńskiej Woli czy Łasku?

Prosta rzecz, dostał tam pracę. W Szadku były dwa młyny. Jeden był duży młyn – spółkowy i drugi mniejszy – gospodarczy, gdzie początkowo zaczął pracować. Właścicielami młyna przed wysiedleniem byli państwo Racięccy, od których mój tatuś kupił młyn w Kustrzycach. Ludwik podjął u nich pracę, ale wkrótce zostali oni wysiedleni i młyn przejął Niemiec Gentleman. Podobno ten Gentleman był zadowolony z pracy brata, że na fachowca dobrego trafił. Ale zarządca Trejchender z dużego młyna, który nie był młynem rzeczonym tylko parowym, dowiedział się, że w Szadku jest taki fachowiec, jakiego akurat potrzebował. I od razu przenieśli z tego gospodarczego młyna do tego dużego spółkowego. I tam Ludwik pracował aż do końca wojny. Ten Trejchender miał w młynie jeszcze kierownika, obera i trzech młynarzy fachowców.

A czy pamięta Pani nazwiska tych młynarzy?

Tak, pamiętam, no bo jak mam nie pamiętać, jak oni do AK należeli. Najstarszy z nich był Jurek Magier, który po wojnie zamieszkał w Krakowie i tam zmarł. Jego brata, który wcześniej pracował w młynie i chyba na imię miał Tadeusz, Niemcy wykończyli. Zabrali do obozu koncentracyjnego i już stamtąd nie wrócił. Pozostali młynarze to Ludwik Osiński i Przemysław Sowa.

Czy aresztowanie Tadeusza Magiera miało związek z działalnością konspiracyjną? Niemcy podejrzewali, że Polacy działają w jakiejś organizacji antyhitlerowskiej?

Wówczas ja go nie znałam i nie wiem, jak wyglądało jego aresztowanie.

Messerschmitt, które stanowiły ochronę bombowców. Podczas walki ppor. Dzwonek został ranny w rękę i udo, zdołał dolecieć na lądowisko. W tym czasie ppor. Kramarski otrzymał postrzał w tułów i głowę. Jego płonący samolot spadł na las pomiędzy wsiami Sędziejowice i Emilianów. Pilot zginął na miejscu. Początkowo był pochowany w zbiorowej mogile na Cmentarzu Doły w Łodzi. Dzięki staraniu Aeroklubu Łódzkiego został ekshumowany i pochowany w oddzielnym grobie. Pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Walecznych. W 1983 r. w miejscu wrześniego dramatu miejscowe społeczeństwo wystawiło pamiątkowy obelisk, odnowiony w 2016 r.

A dlaczego Pani przyjechała do Szadku, a nie została razem z mamą i bratem w Emilianowie?

Bo Ludwik biadolił, że nie ma mu kto jeść gotować.

I to był główny powód, że trafiła Pani do Szadku?

Tak. Mieszailiśmy w Szadku w sześciu różnych miejscach. Niemiec tak nas przesiedlał. Najpierw mieszkaliśmy w Rynku u pani Juli Adamowicz, która już dawno nie żyje. Później stamtąd nas zabrali i również mieszkaliśmy w Rynku, a następnie naprzeciw poczty przy drodze do młyna gospodarczego. Później byliśmy na Wilamowskiej, znów w Rynku i u Piotrowiczów na ulicy Litzmannstrasse (Łódzkiej). Gdy był nalot na Szadek, to stamtąd uciekliśmy do takiego prowizorycznego schronu koło młyna. I to był dzień wyzwolenia, 19 stycznia 1945 r.

Czy wcześniej, przed przyjazdem do brata Ludwika, była Pani już w Szadku?

Nie, wcześniej Szadku nie znałam.

Jakie wrażenie zrobiło na Pani to miasteczko?

Bardzo miłe. Miło wspominałam panią Julię Adamowicz, która mnie przygarnęła i bardzo polubiła. Ja ciągle z nią utrzymywałam kontakt, czułam się dobrze i byłam zdziwiona, że na takich dobrych ludzi trafiłam.

Jaki zapamiętała Pani Szadek z czasów okupacji niemieckiej? Było spokojnie?

Pierwszy rok, jak mieszkałam w Szadku, to mało wychodziłam. Tylko jak musiałam, przeważnie byłam w domu. To był spokojny rok. Drugi rok to już zupełnie co innego. Zaczęły się aresztowania i łapanki. Jak był jakiś cynk, że szykują się łapanki, to też się ukrywałam. Pamiętam, że wyglądało to paskudnie, Niemcy jechali przez miasto ciężarowym samochodem i jak napotkali jakąś młodzież, która się nadawała do pracy, to zabierali z ulicy. Innych zabierali z domów. Jak mieli naładowany samochód to wywozili ludzi na roboty do Niemiec.

Gdzie ukrywała się Pani przed łapankami?

W domu na Wilamowskiej, gdzie wówczas mieszkaliśmy. Ukrywałam się na strychu za kominem. To była taka stara chałupa. Nie mieliśmy szczęścia do dobrego mieszkania, pamiętam, że kiedyś weszłam po drabinie na górę i myślałam, że jak się tam położę, to mnie nie znajdą. Ale słyszę, że wchodzi na górę – myślałam, że już mnie mają. Ten na drabinie w pewnym momencie mówi jednak po niemiecku 'Ich nicht hier' – nie ma tutaj nikogo. Tyle to rozumiałam. I zszedł z powrotem. Jakie szczęście, że nie wszedł na górę i nie rozejrzył się, czy kogoś tam nie ma.

Czyją własnością był dom przy ul. Wilamowskiej, w którym mieszkaliście?

Polaka, ale kogo to nie wiem. Ten dom stał naprzeciwko budynku niemieckiej firmy Bautrup i był pusty, jak się wprowadziliśmy. W tej firmie pracowało sporo mężczyzn, ale nie wiem, co oni tam robili, chyba coś z desek.

Jak wspomina Pani kolejne lata okupacji niemieckiej w Szadku?

Zarejestrował mnie u siebie polski gospodarz Wesołowski. On był dobrym gospodarzem, więc był Polakiem uprzywilejowanym i miał pełne gospodarstwo, dwa konie i wóz. U niego pracowałam przy robotach polnych. W pole chodziliśmy we troje, ja, Józef Jagiełło i taka starsza panna Czesława, nie pamiętam, jak miała na nazwisko.

To była pierwsza Pani legalna praca w Szadku?

O ile pamiętam, to była druga praca. A pierwsza była u takich volksdeutschów, u których byłam pomocą domową.

Wtedy była już Pani zarejestrowana w Arbeitsamcie?

Tak. U volksdeutschów jako pomoc domowa opiekowałam się małym dzieckiem. Chodziłam z nim na spacer. Pracowałam u nich prawie rok i byłabym dużej, ale ten polski gospodarz poszukiwał ludzi do pracy w polu. I w Arbeitsamcie zdecydowali o przeniesieniu mnie do Wesołowskiego. Pamiętam, że ta rodzina volksdeutschów miała jeszcze jedną pomoc domową i do tego sklep masarski. W gospodarstwie państwa Wesołowskich pracowałam do końca okupacji.

Jak to się stało, że brat Ludwik wciągnął Panią do tajnej organizacji podziemnej?

Już wcześniej brat mi to sugerował. Miałam wstąpić, ale coś się stało i do tego nie doszło. Ale jak już w Szadku zamieszkaliśmy, to wyglądało to poważniej. Poza tym byłam już starsza. Brat był komendantem. To była działalność podziemna i nie daj Boże, żeby Niemcy o tym się dowiedzieli. Musiałam słuchać brata, ale miałam powiedziane, że nie wszystko muszę wiedzieć. Jak się pytałam o coś, to nieraz zostałam zbyta.

Gdzie Pani składała przysięgę? Pamięta Pani jej słowa?

Nie, nie pamiętam, ale mam zapisaną jej treść. Przysięgę składałam w domu, w którym wówczas mieszkałam z Ludwikiem, chyba u Piotrowiczów na ulicy Litzmannstrasse. W domu mieliśmy krzyż i przysięgę składałam na ten krzyż.

Jaki miała Pani pseudonim konspiracyjny?

„Wierna”. Pseudonim podsunął mi brat i zapytał się, czy mi się podoba. Jak ułyszałam to słowo „Wierna” byłam zachwycona.

Ile miała Pani wówczas lat?

Szesnaście lub siedemnaście.

Jakie zadania otrzymała Pani w ramach organizacji?

Wówczas pracowałam u Wesołowskiego i nie wiedziałam, że on jest nasz, dopiero później się dowiedziałem. W niedzielę często chodziliśmy kopać okopy na szadkowskich polach w kierunku Łodzi. Okopy kopaliśmy na głębokość 1,5 metra od ósmej rano do wieczora. Prowadził nas taki brygadzysta Polak – wszyscy wiedzieli, że to Polak, ale zachowywał się jakby był Niemcem. Jak chodził wieczorem, to tam, gdzie były okiennice nieszczelnie zamknięte, walił, mordę darł i straszył Polaków.

Ale nie zawsze kopaliśmy okopy. Pewnego ranka w niedzielę, która akurat była wolna, konie były już zaprzęgnięte i wóz naszykowany. Dowiedziałem się, że mamy wypad, choć ja nie wiedziałam ani dokąd jedziemy, ani co się na tym wozie znajduje. Jechało nas pięć osób. Ja z żoną gospodarza panią Wesołowską zostałyśmy wzięte dla niepoznaki przed kontrolą żandarmów. Niby że rodzina jedzie – chłopcy z babami – to się mniej interesowali. Wyjechaliśmy z podwórza Wesołowskiego, oboje Wesołowscy, nauczyciel Stanisław Brzozowski, Ludwik i ja. Ludwik mi szepnął, że jedziemy do państwa Wilczyńskich. To była bardzo zacna i poczciwa rodzina. Mieszkali w Pile. Gospodarz Kazimierz Wilczyński miał pseudonim „Zawisza”. Dojeżdżamy, a pana Wilczyńskiego nigdzie nie widać. Brama na oścież otwarta i oczekuje nas pani Wilczyńska. Zanim zdążyłyśmy z panią Wesołowską zauważyć, gdzie nasze chłopcy się podziały, już ich nie było. Dopiero potem dowiedziałam się, że gdzieś nad rzeką mieli spotkanie konspiracyjne. Nie było ich kilka godzin. Gdy wrócili, od razu do wozu i chcieli wracać. Ale pani Wilczyńska nie chciała ich głodnych puścić i prosiła, żeby chociaż zupę zjedli. W biegu ich ugościła. Zjedli, podziękowali, na wóz i do domu, ale nie od razu. Najpierw pojechaliśmy na Rossoszycę, bo gdzieś tam mieszkał ojciec Wesołowskiej, Błaszczuk (miał syna, który został aresztowany i nie wrócił). U nich coś wyjęli z wozu i prędko przenieśli do korytarza w domu. Wiadomo, co tam mogło być. To był rok 1942. Jakby nas wtedy żandarmi zatrzymali, to byśmy trafili wszyscy do obozu.

Do mnie należało przede wszystkim utrzymywanie łączności między moim bratem Ludwikiem pseudonim „Orlicz” a Wesołowskim pseudonim „Mur”. Jak pracowałam u volksdeutschów, to podsłuchiwałam, na przykład, czy nie zapowiada się jakaś łapanka, i donosiłam Ludwikowi.

Czy były przeprowadzane jakieś akcje zbrojne w ramach podziemnej działalności?

Nie.

Czy wiedzieliście o wybuchu powstania warszawskiego w 1944 r.?

Wiedzieliśmy i Ludwik kazał być przygotowanym. Najpotrzebniejsze rzeczy mieć przy sobie.

Czy była Pani świadkiem jakiś zdarzeń lub słyszała, że Niemcy dokonali gdzieś zbrodni na Polakach? Zdarzały się takie przypadki w Szadku lub okolicy?

O aresztowaniach słyszałam, ale zabójstw nie pamiętam.

Czy coś może Pani powiedzieć na temat aresztowania Ignacego Kobackiego na terenie Szadku?

To był chyba nauczyciel, pamiętam go, ale bliżej go nie znałam. Znałam jego dzieci, najbliższej Jurka.

Kto oprócz Ludwika i Wesołowskiego był jeszcze w konspiracji AK? Pamięta Pani jakieś nazwiska?

Wiedziałam, ale nie od razu, że do AK należą bracia Magierowie, Jurek Kobacki pseudonim „Mały Gryf”, Piasecki, który miał siostrę Janeczkę, Marian Piotrowicz pseudonim „Kometa”, Przemysław Sowa pseudonim „Ryś”, Stefan Dzieniakowski pseudonim „Brzoza”, Stanisław Brzozowski pseudonim „Kopacz”, Walenty Wesołowski pseudonim „Mur”, Józef Niedźwiedzki (taki mały) pseudonim „Miś” i Kazimierz Wilczyński pseudonim „Zawisza”, który od czasu do czasu bywał u nas w Szadku.

Czy może Pani coś więcej powiedzieć o rodzinie Wilczyńskich?

Państwa Wilczyńskich znałam od momentu, gdy moja siostra wyszła za męża za młynarza Heńka Kubiaka. On wtedy szukał młyna, który mógłby wziąć w dzierżawę i znalazł w Pile, właśnie u państwa Wilczyńskich. Pan Wilczyński miał młyn, ale nie pracował w nim, gdyż stracił rękę. Tam było pełno dzieci i jak bywałam u siostry, to z tymi dziećmiakami się bawiłam. To było jeszcze przed wojną. Na wakacje zawsze przyjeżdżał ksiądz Sobański, krewny ze strony pani Wilczyńskiej. Ten ksiądz nie potrafił próżnować, zawsze starał się być dla nich pomocą. Pamiętam, że do pasienia krów, których mieli sporo, przyjęli biednego chłopca Bruńcia-Buncia. Pani Wilczyńska każdego dnia o stałej porze szykowała Buncikowi podwieczorek. A ja razem z jej dziećmi Zosią, Moniką i Józiem nosiliśmy mu ten podwieczorek na łąki. A jak było gorąco i krowy przypędziły, a zachciało mu się ochłodzić, to Bunciu wskakiwał do rzeki. Jak on pływał, dzieciaki mówią do mnie, weź trochę piasku i rzuć na Buncia. Ale na plecy mu rzuć. A ja się pytam dlaczego ja. A oni odpowiadają, że na nich by mama krzyczała. Mi dużo nie trzeba było, bo jak podobno fikuśna byłam. Więc wzięłam tego piachu, jak podpłyną blisko to mu benc w plecy, a on się ogląda i krzyczy *a cio chorera mać, siwuna la psio psiu pis, no no no ja pan widaje*. Siwuna to dziewczyna, a pan widaje to, że Ludwika już widział. Wtedy tak się złożyło, że Ludwik przyjechał tam rowerem i Bunciu mówi do niego *pan, siwuna chorera mać, siwuna psio psiu lap, na Buncia nie psi, Buńciu nie muń*, czyli chodziło, żeby na Bruńcia nie sypać to Bruńcio nie będzie mówił. On mówił taką śmieszna mową. On miał wtedy około czterdziestu lat, ale był bardzo pocieszny.

Czy od samego początku wiedziała Pani, że należy do AK ?

Chyba nie od razu wiedziałam, że to było Armia Krajowa, po prostu jakaś organizacja podziemna.

Czy w ramach działalności organizacji były rozprowadzane jakieś gazetki konspiracyjne?

Nie, nie było gazetek. Tylko były spotkania, tam gdzie z Ludwikiem mieszkaliśmy bardzo często obcy mężczyźni przychodzili. Nie zawsze ci sami. Najczęściej w niedzielę. Ja wtedy wychodziłam z domu.

Pamięta Pani dzień oswobodzenia Szadku przez Armię Czerwoną?

Tak, to było 19 stycznia 1945 r. Ukryłam się w schronie budynku, który znajdował się przy młynie spółkowym. Nagle słyszę ogromny huk. A to były rosyjskie czołgi na ślimacznicach. W pewnym momencie drzwi się otwierają i Ludwik mówi, że możemy wyjść na ulicę. Razem z bratem wróciliśmy do domu Piotrowiczów. Gdy wchodziliśmy do domu, tuż nad głową Ludwika przeleciała kula, tylko szum jej usłyszałam. W domu naprzeciwko na poddaszu szwab się ukrył i strzelił. Od Łodzi nadjechał ciężarowy samochód z sowietami, którzy to widzieli. I dwóch zeskoczyło z samochodu, polecieli od tyłu domu i kazali schodzić temu szwabowi. Kiedy zszedł, zabrali mu broń, pas i buty. A inny Rusek wyciągnął krótką broń, przystawił do głowy tego Niemca i strzelił.

Co później się z wami działo w Szadku?

Pamiętam, że się przeprowadziliśmy do Rynku. Ale wkrótce Ludwika aresztowano.

Gdy aresztowano Ludwika była Pani jeszcze w Szadku?

Nie, ponieważ źle się czułam, rowerem pojechałam do brata Olka, który wówczas pracował u pani Wisławskiej i mieszkał razem z mamą we młynie w Brzeskach. W tym czasie Urząd Bezpieczeństwa zabrał Ludwika, którego podobno zawieziono bryczką z Szadku do Sieradza.

Jaki był powód aresztowania?

Aresztowany został za to, że był w czasie okupacji komendantem AK, a zaraz po wojnie komendantem posterunku milicji w Szadku. Jak tylko wyzdrowiałam pojechałam rowerem do Sieradza. Nie wiedziałam, gdzie Ludwika szukać. W końcu trafiłam do budynku Urzędu Bezpieczeństwa. Przy wejściu po prawej stronie było okienko, w którym siedziała jakaś pani. Potwierdziła, że brat jest tu, więc spytałam się, czy byłoby możliwe widzenie. Kazała poczekać i po długim oczekiwaniu pojawił się Ludwik w obecności funkcjonariusza. Starał się być uśmiechnięty, powiedział, że wszystko jest dobrze, że niedługo wróci i żeby się nie martwić.

Wkrótce wyjechałam z bratem Olkiem do Słupska. Olek dostał tam pracę w zaopatrzeniu, ale kiedy zgłosił się tamtejszego urzędu pracy i powiedział, że jest fachowcem młynarzem otrzymał propozycję pracy w kilku młynach w okolicy. Wybrał młyn w miejscowości Łupawa, który wówczas zajmowali jeszcze sowieci. Kiedy sowieci wyjechali objął ten młyn i mieszkał tam wiele lat.

Ludwik, kiedy wyszedł z więzienia, nie powrócił już do Szadku. Wyjechał na Ziemię Odzyskane i w powiecie człuchowskim w miejscowości Polnica prowadził młyn parowy.

Gdyby nie aresztowanie brata, to byście zostali w Szadku na stałe?

Wątpię, abym została. Nie wiem jak brat. Ale lubiłam trzymać się rodziny. Najbardziej się obawiałam, aby mnie w czasie okupacji nie wywieźli.

Co się później działo, jak Pani zamieszkała w Słupsku?

Obaj bracia prowadzili młyny. Olek w Łupawie, a Ludwik wówczas już w Podkomorzycach. Mnie sobie pożyczali do pomocy. Taka była moja dola. W jednym i drugim młynie pod nieobecność braci prowadziłam wymianę zboża. Wyglądało to w ten sposób, że klient dostarczał zboże, odbywało się ważenie i sprawdzałam zanieczyszczenie i wilgotność zboża. Wszystko było odnotowywane w zeszycie. Następnie zboże było zsypywane do silosu i mielone na mąkę lub otręby. Do mnie również należało prowadzenie kasy. Ludzie mnie szanowali.

Dlaczego zamieszkała Pani na stałe w Radziejowie?

Po śmierci mojego pierwszego męża Kretowicza mieszkałam w Dobieszewie sama, ponieważ byliśmy małżeństwem bezdzietnym. Bracia chcieli, abym zamieszkała bliżej nich. Brat z bratową wówczas mieszkali w Radziejowie Kujawskim, więc tu się przeprowadziłam i po dzień dzisiejszy mieszkam.

Czuje się Pani bardziej łowiczanką czy szadkowianką?

Łowiczanką, tym bardziej, że stamtąd pochodzę – wszystkie dzieci w jednym domu się rodziły. Tamte strony są mi bardzo bliskie.

Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Dziękuję.

Radziejów, 10 kwietnia 2016 r.

NOTA BIOGRAFICZNA



Daniela Anna Ludwicka, z domu Osińska, urodziła się w rodzinie młynarskiej 27 czerwca 1923 r. w Łazinie (pow. łowicki), jako córka Marcelego i Katarzyny z Walaków. W 1933 r. wraz z rodziną przeprowadziła się do Kustrzyc koło Marzenina (pow. łaski), gdzie jej ojciec kupił młyn wodny. Do 1939 r. wychowywała się w domu rodzinnym i uczęszczała do szkoły powszechnej, którą ukończyła w Sędziejowicach w 1938 r. Wówczas należała już do PCK i harcerstwa w Sędziejowicach. Po ukończeniu szkoły powszechnej pomagała matce w gospodarstwie. W grudniu 1939 r., za namową brata Ludwika ps.

„Orlicz”, wstąpiła do Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). Przysięgę złożyła na ręce brata, obierając pseudonim „Wierna”. W sierpniu 1940 r. przyjechała do Szadku. Została zatrudniona w gospodarstwie Walentego Wesołowskiego ps. „Mur” i jako łączniczka utrzymywała kontakty konspiracyjne między swoim bratem Ludwikiem a Walentym Wesołowskim. Jej brat Ludwik tropiony już w Marzeninie przez władze niemieckie, po ucieczce do Szadku, pracując początkowo w młynie państwa Racięskich, a następnie młynie spółkowym, zorganizował w Szadku trzy plutony AK po 27 osób, a sam został komendantem zorganizowanego przez siebie Spieszonego Szwadronu AK. Prowadził szkolenia, zebrania i narady. Na początku 1941 r. Daniela Osińska została przeniesiona na służbę do volksdeutscha Hieronima Woszczalskiego, skąd przekazywała podsłuchane wiadomości ważne dla organizacji i zagrożonej aresztowaniami i łapankami ludności polskiej. W 1942 r. została ponownie zaprzysiężona do AK. W lipcu 1942 r. przebywała na terenie zabudowań Kazimierza Wilczyńskiego ps. „Zawisza” w Pile koło Zadzimia, gdzie odbyła się odprawa dowódców VI Rejonu Szadek prowadzona przez komendanta Obwodu Sieradz Marcina Stacheckiego ps. „Colliba”, „Marek”, „Wujek”. W planach akcji „Burza” była przewidziana jako sanitariuszka w strukturach bojowych oddziału. W konspiracji pozostawała do 19 stycznia 1945 r., do momentu rozwiązania AK. W czerwcu 1945 r. wyjechała na Ziemie Odzyskane do Słupska, gdzie pracowała w sklepie spożywczym. W styczniu 1946 r. została zatrudniona w młynie parowym w Polnicy, jako księgowa, a od listopada 1950 r. pracowała w Podkomorzynach w młynie wodnym. 26 grudnia 1952 r. zawarła związek małżeński z Ludwikiem Kretowiczem w Kozinie i przeprowadziła się do Gogolewa na gospodarstwo męża. W sierpniu 1955 r. została zatrudniona jako księgowa w młynie w Jamrzynie, a w styczniu 1960 r. kupiła działkę z mężem w Dobieszewie. Tam pracowała w Wojewódzkiej Mleczarni w charakterze wagowej. W kwietniu 1978 r. zmarł jej mąż. 1 czerwca 1978 r. przeprowadziła się do Radziejowa Kujaw-

skiego. 10 czerwca 1981 r. wyszła ponownie za mąż za Czesława Ludwickiego. Należała do chóru przy kościele NMP w Radziejowie, Franciszkańskiego Zakonu Świeckiego przy parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Radziejowie, Solidarności Polskich Kombatantów (luty 1993–czerwiec 1994). Od 1994 r. należy do Koła Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Szadku. W 2001 r. mianowana została na stopień podporucznika, a w 2004 r. na porucznika. Odznaczona: Odznaką Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny (1995) i Krzyżem Armii Krajowej (1997). W 2003 r. uczestniczyła w uroczystości odsłonięcia tablicy ZWZ-AK w kościele pw. św. Jakuba Apostoła w Szadku. Mieszka w Radziejowie.